

PAWEŁ STAŚKO.

## JEDNA GODZINA

(Dokończenie).

— Trzeba próbować sił tu i tu. Zapewne poezja to — mowa bogów, poetą trzeba się już urodzić, mieć talent, wytworny smak, czucie, subtelne pióro... Oczywiście i wysoką kulturę! Dziś, kiedy istnieją całe biblioteki poezji, chcąc coś nowego napisać — trzeba być genialnym wirtuozem! Sonety o wiosnie, hm... Ile już wiosen było od początku świata, tyle już o nich napisano sonetów i poematów, ba, w tysiącach możliwych odmianach, formach i inwencyach...

Poeta słuchał, zasuwaszając oczy gestami rzesy.  
— No tak, to prawda, życie zawsze to samo, wiecznie jednakie — potaknął cicho. — I ludzie też... Rodzą się wprawdzie nowi, ale mają te same dusze, uczucia, jak ich przodkowie i pragną również wypowiedzieć się... Sami dla siebie... Każde pokolenie przemawia do się własną mową, każde przytem odkryje coś nowego i pozostawia...

Redaktor zdał się nie słuchać usprawiedliwień urzeczonego wiosną poety.

— Panie, zna pan te słowa:

...znowu się będą mieć winnice i drzewa,  
znowu się dookoła zazieleni pole —  
idzie wiosna różanousia, złotobrewa,  
złotym jaskrem i chabrem niebieskim na czole...

Poecie rozjaśniły się oczy.

— Tak, to wyjątek z Tetmajerowskiej „Legendy”.

— A widzi pan... Kto z dzisiejszych poetów potrafił w czterech wierszach rozłożyć poprzedni taki wiosenny obraz? Nikt! Zna pan jeszcze co z Tetmajera? — egzaminował.

— Owszem, znam wszystkie jego dzieła, a wiersze umię prawie na pamięć, choć ich się nigdy nie uczyłem.

— Naprzykład coś o wiosnie?

Młodzieniec szukał w pamięci.

— Przypomina mi się sonet „Na wiosnę”.

— Jak się zaczyna?

Redaktor zdał się bawić do naiwności grzecznym poetą.

— „Niegdyś, kiedy się wiosna zaślśniła w przeźroczu”.

— Ach, tak... Niech pan to powie całe, bardzo pięknie moduluje pan słowa — rzucił zachętnie.

Nie pojmując jaki ma zamiar redaktor i pragnąc najprzychylniej usposobić go do siebie, zaczął nieco już śmiejąc:

„Niegdyś, kiedy się wiosna zaślśniła w przeźroczu,  
marzyły mi się bóstwa żywiołów ocknięte,  
lasów bogi szumiące i przejasne święte  
nimfy, rodzące kwiaty spojrzeniem swych oczu.

Zdało mi się, że stojąc kędyś na uboczu,  
jak malarz z poza wiklin w wodzie rozpięchnięte  
podpatrując dziewczyny, ich nagą pojętą,  
błękit ciała wśród fali i rosę w warkoczu.

Tak ja patrząc na nagle młode bóstwa wiosny,  
utrwalając ich obraz cudowny we wzroku,  
ich promienną urodę i płas ich miłosny!

Już wiosna schodzi jasna z białego obłoku,  
lecz moja — przeszła — i dziś na ową świetlistą  
patrząc, widzę ironię bytu wiekuiście...

Deklamował to tak pięknie i uczuciowo, jak recytator poety rozmiłowany w poezji do zenitu.

— Ślicznie, bajecznie — zachwycił się redaktor i słodkim głosem i oczyma poety jaśniejącami promienną szczęśliwością. — Ma pan naprawdę deklamatorski talent... — dodał, ścigając brwi i uśmiechając się bezbarwnie, z szybko topniejącym zachwytem.

I naraz oblicze jego skurczyło się, spoważniało. Coraz częściej napadały go teraz takie gwałtowne zmiany. Reszta dzisiejszej ciężko przespanej nocy, w której jak jasne widma latały mu po mózgu postrzępione obrazy nastającej wiosny, kwiaty fariny i urocze oczy aktorki, ciało jej smagłe, zda się bez kości, nagie, kuszące i pełne żaru, — te zwidy napastliwie, tańczące wśród wyobraźni, wytrąciły go z równowagi i rozpręgły nerwy.

Obraz deklamującego młodzieńca o płowych oczach i wiosnianych rumieńcach twarzy, jego

cudownie niewinna świeżość i zapach tryskający z oczu — wzbudził w nim nagle dziką zazdrość i oblał ciało zimnym dreszczem jakowegoś wspomnienia. Słowa poety mówiącego o wiosnie: „lecz moja — przeszła — —” uderzyły w niego jak odłamek nagrobka i zaczęły w duchu skowyleć. Uczuł się naraz wobec tego młodzieńca ledwie co żywym próchnem i pasożytnym grzybem. Zmarszczona jego twarz zdała się w oczach starzeć i wpadać w szarość ziemi.

— Widać, czyta pan wiele — zaczął bezmyślnie wyrokiować. — Trzeba, to grunt... Trzeba się ciągle kształcić, wczytywać, urabiać smak i język, potem dopiero włożyć się do pióra... Nie przeczę, może pańskie sonety są nienajgorsze, ale, widzi pan, nie mam na tyle czasu by je przeczytać, zresztą — tęka redakcyjna tak przepełniona, że... ani mowy! Owszem, niech się pan kiedy zgłosi, jak będzie czas ku temu... Dowiedziałem się — i odszedł spiesząc, pozostawiając w zdumieniu nieprzygotowanego na obrót sprawy młodzieńca.

Jasne oczy poety stały się teraz wielkie, jakby ogarnąć chciały i zrozumieć całe to zajście. Było w nich i nieme zapytanie, rzucone poza w tej chwili zatrzaśnięte drzwi, przykre rozczarowanie dociekające przyczyny redaktorskich rad, rad — zdaniem oczu — bezpodstawnych, a wreszcie sensu deklamatorskiej próby. Pocien niby egzamin i ta odprawa bez wiedzy co wypieściły jego sonety? Że już pisano o tem tysiącokrotnie? Wszak i on odszedł — by pisać o ludzkich sprawach, starych świat, co już pisano i przeżuto, a jednak poszedł...

Na jego świeżej, jak biały płatek kwiatu przejrzyściej twarzy wymalował się głęboki żal i smutek. Widać było jak wielką przywiązywał wagę do swych sonetów, ile pokładał nadziei w przychylności redaktora i jak fakt zaszyły dotknął boleśnie duszę jego o wrażliwości mimozy, kiedy nie mógł powstrzymać łez ciskających się do oczu.

Stał jeszcze chwilę, jakby niedowierzając w zawód i wzgardę jakiej doznała jego wiosniara przedzą, za wzniosły by móc zapalać gniewem i czysty jak ta wiosna co go urokiem swym natchnęła, chrzymem pieśniarza namaszczał.

Odgarnął z czoła liliane kosmyki włosów i przywdziewając kapelusz — odszedł, by się poskarżyć wiosnie. Tylko ramieniem cisnął silnie kajet ku pierścionkowi, jakby ukryte w nim sonety utulił w płaczu i cieszył promienną obietnicą...

Goleś, znalazłszy się przy biurku, wpatrzył się w jakiś punkt na ścianie, odczuwając równocześnie gwałtowny wstręt do oczekujących nań gazet. Czuł że było czernidłem i czemś, co odpychało nudzącym obrzydzeniem, niby długo używana potrawa. Czuł w okół jakąś zawziętą kłótnię pomiędzy atmosferą pokoju a świeżym wiewem powietrza zalatującym poprzez otwarte okna. Wiosna wpływała niemi coraz to możniejszymi potokami, coraz wonniejsza, z darami młodych podnieć. Wprost rozdymały piersi kryniczne fale, przenosząc myśli w jakieś odległe uroczyska, na samo łono wiosny.

Ni stąd ni zowąd ożwał się w redaktorze nagły żal za zlekceważonym poetą. Wzruszony żywym dotykem wiosny, rad był przeczytać jaki słoneczny hymn, byle tylko to wertowanie gazet odwiec na plan najdalszy. Zaraz za pierwszym podszeptem wybiegł do poczekalni, potem na schody, ale poety już nie zoczył. Wrócił niezwykle podrażniony. Z całem zaparciem usiadł sobie przy biurku i jał się gazet z niełatwą pasją. Przeglądał je pospiesznie i niecierpliwie, co chwilę poglądając ku otwartemu oknu. Słyszał, że jakiś głos tajemny wywołuje go na świat, pełen słonecznych blasków, i że coś skrycie obiecuje. Malejwięcej co minutę oceniał okiem jakiś artykuł, wycinał go nożycami i, nakleiwszy na przyrządzone czyste pasma papieru, dopisywał u góry nowy przechrzczony tytuł. W ten sposób odrobił materiał w jednym niemal kwadransie. Był już na dzisiaj wolny. Z zaryzunka na ramionach zeszedł na dół po schodach i sam po drodze oddał drukarni przeznaczone do pisma wiadomości.

— A a! — odechnął całą pierś, znalazłszy się na ulicy. — Co za rozkoszny dzień! Oszaleć można przy biurku — nie pisać! Dalej, dalej! — coś go nagliło do pospiechu, wlewając w ciało nieokreślone żądze gonitwy w jasną, złotą od słońca przestrzeń.

Pierwszym napotkanym tramwajem wydostał się za miasto. Na podmiejskich ścieżynach i miedzach pośród niewielkich skrawków roli

spotykał pary to pojedynczych ludzi, żatywających ciepłego wiosennego południa, uradowanych słońcem i świeżością powietrza, co, niby deszcz opylony, lało się pacnącą sieją z błękitnych niebios.

Miedzy wywabionymi z miasta spacerowiczami znajdowali się wybladli, astmiczni starcy, chciwi powietrza i odświeżających promieni, posuwający się ciężko i ostrożnie aby nie deptać młodziutkich traw, przedziwnie cikliwi i troskliwi, zatrzymujący się w zachwycie nad każdym krzaczkiem i bujnie rozwiniętą rośliną. Tyle już wiosen przeżyli w swoim życiu, a jednak ta, ostatnia może, zdawała się najdroższą i najpiękniejszą, najmielszą z wszystkich.

Owdzie przesunęła się wiołka dziewczęca postać, barwnie ubrana, o żywych kolorach wiosny, płynęła w oczach Golenia czarem porannej zorzy, hoża, z odkrytą głową i kapeluszem w ręce, podobnym wielkiej koronie kwiatu, szła niespokojna w ruchach, oszołomiona przesłrzeniem blasków, jak płak puszczone z kłaski i oślepiiony powabem wolnego życia.

Ocknięte dusze jednych płożły się po ziemi i młodych trawkach ciche i rzewnie rozszeptane, drugich — gonili w słońce lotami orłów, pijane krzykiem rozbujanej przyrody i słonecznego szalu pełne.

Goleś czuł te różnice i żał ogromny poczał mu ścisnąć serce.

— Starcom, a więc i tobie, tak się przedstawia wiosna... zaś tak — tym młodym! — coś mu natępiło jęło powtarzać nad uszema. — Tym starczy ziemia i zielona gałązka, tamtym wśród gwiazd za ciasno...

Odpędzał wrogie szepty i szedł pospiesznie dalej, bez wytkniętego celu, byle tylko uciec od miasta, nie widzieć ludzi i gdzieś w ustroniu utopić się w wiosnę, pełną, rozlaną. Zdawało mu się, że jej wszechmożne czarodziejstwo odmłodzi go i wsaczy w żyły krople krynicznej krwi.

Szedł długo, nie odczuwając prawie zmęczenia, wpatrzony w dalekie domki wioski, bielejące do słońca i przykucnięte wśród drzew wyniosłych, jak wielkie nenufary na szmaragdowym tle jeziora. Rozścieliły się przed nim wonne, szerokie pola i wraz zawiązała lekka fala prawdziwej, wsi. Obejrzał się poza siebie, gdzie w smugach dymu ginęło miasto. Jakże był rad, że nie słyszy piekielnego turkotu i zgrzytu kół żelaznych! Odczuł, że oderwał się z huczącego mrowiska i wpadł w jakąś wielką ciszę, co aż się gnieść zdawała swoją istotą. Nerwy obwisły w nim upragnione spoczynku i upojone długą strażą. Cichość utulna stoczyła się na niego jak cud kojącej ulgi. Szybko odwrócił się ku polom i poczał iść naprzeciw ku niedalekiej rzece. Poznał ją po okragłym pasmie nadbrzeżnych drzew i wystającej gęstwinie wiklin. Śpiał teraz po świeżo zaoranej roli nie bacząc, że rozmoknięta miejscami ziemia oblepia mu obuwie. Owszem, doznawał nawet w tem brodzeniu niezwyklej przyjemności oraz podnieć, że idzie ziemią a nie obmierzłym brukiem. I ludzie wieści, porozrzucając grupkami po łąkach, nie razili go jak ci tam z miasta, lecz napawał dziwną ochotą do życia i tego ruchu wiosennego co się rozleciało wokół, jak pieśń siłbarwna.

Dotarłszy do wału rzeki, Goleś, przystanął na nim jak na wzgórk, ogarniając oczyma okolicę. Oddechał szybko nie tyle ze zmęczenia, ile z rozkoszy na widok pól, barwnych wiejskich postaci i tego słońca co bez przeszkody rozlało się po równiach, nie wziętym murami ulic, ani ciasnych podwórz.

Uczuł, że jakieś ciężkie pięta spadły mu z ramion, — jemu i słońcu.

— O Boże wielki! wszakżeż tu raj, tu życie! — szepnął półgłosem, pełen niewymownego szczęścia. Dawno zginione blaski wróciły mu w źrenice, takie nieomal, jakie były od oczu młodzieńczego poety. I on sam właśnie stanął mu teraz w uszczęśliwionych myślach, jasny, nieśmiały, deklamujący cudnym głosem.

...Idzie wiosna różanousia, złotobrewa,  
z złotym jaskrem i chabrem niebieskim na czole...

— Jakżeż on nie miał pisać, gdy tu wszystko pisze sonety... Każdy kamyczek i skiba ziemi, trawy i ozimina — wszystko to śpiewa i wije cudne pieśni...

I znowu szorstką dłonią żał go szarpnął za serce za tę odprawę bezsilną. Był przytem jak groźna iskra, poczynająca pożar. Bowiem znienacka na ucieszoną duszę redaktora Golenia spa-